

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

11

(Ciąg dalszy).

Może to wywołać zdziwienie, prawda jednak nakazuje mi powiedzieć, że i tej drugiej nocy na Touraine nie spałem wcale... Miałem halucynacje, zdawało mi się, że widzę Dżima, a co gorsza jeszcze, że patrzę na zamordowaną Łucyę Weill!... Nazajutrz wziąłem się zaraz do rzukania Dżima, by otrzymać od niego jakiegokolwiek wiadomości, gdzie był i co robił po zniknięciu z pałacyku w Neuilly... Przeszukałem jednak cały okręt od górnego pomostu do kuchni i nigdzie nie natrafiłem na jego ślad.

I w następnych dniach poszukiwania me były również bezowocne.

Podróż stawała się dla mnie nudną i przykrą. Polidor nie otwierał ust pogrążony w jakimś somnambulizmie... Joe Duncan nie wstawał od stołu gry, gdzie zawarł znajomość z swymi rodakami, zwolennikami bridża... Zmuszony więc byłem nudzić się sam, spędzając całe dnie na przyglądaniu się z pomostu falam oceanu.

Ostatniej nocy przed przyjazdem do Nowego Jorku, t. j. po tygodniu podróży, zaszła niespodziewanie nowa scena, która mi odkryła wiele rzeczy. Mogła być już północ... Zaczynałem już zasypiać, gdy naraz uczulem, iż ktoś odsuwa zieloną zasłonę w mej kajucie... Siadłem na posłaniu i w świetle małej nocnej lampki ujrzałem postać swego syna, Polidora. Stał przy mnie blady i drżący... Widziałem wyraźnie rysy jego podniecone, skrzywionej nerwowym skurczem twarzy... Czulem, że stara się coś powiedzieć, lecz słowa nie wychodzą mu z ściśniętego gardła...

— Czego chcesz, Polidorze? — zapytałem.

Wtedy to głosem ostrym i rozkazującym padły z ust jego te dziwne, niezrozumiałe słowa:

— Daj mi pięć luidorów!...

Zmierzyłem wzrokiem przestrzeń dzielącą rękę moją od okienka, nad którym wisiał rewolwer... sięgnąłem po niego instynktownym ruchem samobrony przeciw temu szaleńcowi...

— Nie! ja nie jestem szalony! — mówił dalej Polidor. — Ty nie możesz zrozumieć!... Ty nie wiesz, co się dzieje...

I powtórzył stanowczym tonem:

— Daj mi pięć luidorów!

W głosie jego brzmiała ta sama nuta dzikości, z jaką się musiał zwrócić wówczas do swej matki i z jaką odemnie potem żądał tej sumy. Teraz jednak słowa jego nie mogły mieć tego znaczenia, co wtedy, nie mogły być wywołane poprzednią przyczyną, patrząc też na jego bladą twarz i błędne oczy, myślałem, czy przypadkiem ten biedny chłopiec, który udawał przez tyle czasu pomieszanie zmysłów, nie zwaryował ostatecznie.

Nie starałem się tłumaczyć mu lub przekonywać, lecz wyjąłem z marynarki swój portfel i podałem mu w milczeniu banknot stufrankowy. Polidor nie podziękował mi nawet, lecz czempredzej wyszedł z kajuty. Nie zwlekałem też ani chwili, lecz natychmiast wstałem i ubrałem się. W chwilę potem byłem już na pomoście.

Noc była jasna, niebo szafirowe zasiane było miliardami gwiazd... Szmer posuwającego się w ciżby po falach okrętu budził jakieś nieprzyjemne wrażenie... Czarne sylwetki marynarzy na służbie przesuwwały się z miejsca na miejsce... Minąłem jakąś parę, która trzymając się za ręce, podziwiała gwiazdziste niebo... Nadepnąłem nogą na czarną, bekszałtną masę... Doleciał mnie głuchy jęk. Nachyliłem się i poznałem Dżima, który targając się za swe czarne kręcone włosy, płakał żałośnie. Podciął na mnie swe zapłakane, krwią nabiegłe oczy...

— Co się stało, Dżim? — zapytałem drżącym głosem.

Położył palec na ustach i odrzekł:

— Ach! ta podła!... ta podła!

Wstrząsnąłem nim i kazałem mu wstać... Wskazał mi na ławki z leżącymi na nich płótnami i zaprosił:

— Siadajmy, panie!... Ach! ja chcę ją zabić!

I dodał zaraz:

— Oni są tam... Niech mu pan powie, że to jest najpodlejsze stworzenie... Ja ją tak kocham... tak kocham!

Nie rozumiałem nic; nie chciałem zrozumieć, nie śmiałem zrozumieć! Przed oczami stanęła mi nagle śmieszna scena, gdy drugi negr przymierzał na swej głowie przed lustrem wianek ślubny, przeznaczony

dla Łucyi Weill. Starałem się odpędzić od siebie to wspomnienie... Cóż jednak znaczyły słowa Dżima?

Schwyciłem go za rękę i pociągnąłem w stronę, w którą mi wskazał poprzednio...

— Kogo ty kochasz, Dżim?... Kogo chcesz zabić?... O kim mówisz?

— O Łucyi Weill! — wyszeptał żałośnie.

Stałem jak wryty o sześć kroków od baryery... Włosy podniosły mi się na głowie z przestachu, zimny pot spływał mi z czoła. O sześć kroków od siebie ujrzałem opartą o balustradę młodą parę złączoną z sobą miłosnym uściskiem... Nie słyszeli nas, nie zmienili swej pozycji... Oczy me wpijały się rozszerzonymi źrenicami w ten obraz... Był to Polidor i... Łucya Weill... Tak, Łucya Weill ze swym czystym profilem, zgrabną postacią, rozpuszczonymi włosami... Musiałem wierzyć swym oczom, nie mogłem wątpić.

Nie puściłem ręki Dżima, lecz ściskając ją, szepnąłem:

— Wracajmy po cichu!

I pociągnąłem go do ławki i rzekłem teraz sam:

— Siadajmy, Dżimie.

Nogi ugiwały się podemną; widok ten pozbawił mnie sił! Zażądałem od niego wyjaśnień i dał mi je wszystkie.

— Powiedz mi, Dżimie... wieczorem w Neuilly... przypominasz sobie... wieczorem, gdy ci zastał zakrwawionego... pod kuchnią... wieczorem, gdy wyskoczył przez okno na krzyk Łucyi...

— Och! tak — rzekł Dżim — wieczór, gdy mnie Joe uderzył pięścią... Nie żałuję tego, panie!... Zastał nas, jak się całowaliśmy... Ja tak kochałem Łucyę!... I Łucya mnie tak kochała!... Ja przepraszam bardzo, bo panie miał się żenić z nią... To było silniejsze odemnie... silniejsze od niej!

— Nie o to chodzi! Co się stało wtedy wieczorem? Dlaczego Łucya krzyczała, że ją mordują?

— Z powodu mego nosa zbitego... i z powodu, że pięść naszego panie była we krwi.

— Lecz dlaczego potem ty i ona zniknęliście?

— Master Joe kazał!

— Jakto kazał?

— Kazał ją schować w oddzielnym pokoju, aby panie nie ożenił się z nią w merostwie... ani panie, ani nikt inny!

— I wyście mieszkali razem jak zakochani aż do odjazdu.

— Jak zakochani, tak! — westchnął żałośnie Dżim. — Ona jest taka piękna!... Ach! ja ją zabiję, tę podłą, z powodu tego pasażera... i tego pasażera także przekłuję nożem!... Ja tylko nie chcę zrobić złe swej Łucyi... Ona jest taka piękna i ja ją tak kocham... Pan nie ma pojęcia!

— Owszem, ja wiem, Dżim, że ty jesteś dzielny chłopiec i że będziesz mi posłuszny... w przeciwnym bowiem razie powiem wszystko twemu panu, który się z tobą rozprawi!

Wyjąłem luidora z kieszeni i wsunąłem go w rękę negrowi...

— Idź spać, Dżim i nie myśl ani o pasażerze ani o Łucyi Weill! Jeżeli zabijesz Łucyę, Joe zadusi cię jak psa! A jeżeli podniesiesz nóż na pasażera, to ja ci nie daruję ani chwili życia... Zrozumiałeś, Dżim?... Idź już, mój chłopcze!

I zawstydzony Dżim powłókł się do trzeciej klasy, gdy ja wracałem do swej kajuty.

Zacząłem podróż dwiema bezsennymi nocami i skończyć ją trzecią, straszniejszą niż pierwsze... Byłem jak porażony tem wszystkim, nie miałem nawet tyle jasności umysłu, by zastanowić się nad tem, do czego może doprowadzić ten związek Polidora z Łucyą, jakie następstwa może to pociągnąć dla milionera, który zabrał z sobą Łucyę i dla mnie, jadącego z Polidorem. Nie byłem nawet w stanie określić sobie, jakim jest obecnie mój syn, całą swą znajomość własnego dziecka, mieściłem w tych czterech tylko słowach: „daj mi pięć luidorów“.

Leżałem prawie nieprzytomny na swym posłaniu, gdy rankiem wpadł do mnie Joe i zawołał, śmiejąc się wesoło:

— I cóż powie ten leniuch, Brentano! Kończymy już swą podróż!... Wstawaj, by podziwiać wspaniały most Broklyński i cudowną zatokę Hudsonską!... Ach! rzeczywiście, Jonatanie, ty nie jesteś wcale ciekawy... za dolara niema w tobie ciekawości!

XIV.

Według wskazówki milionera zatrzymałem się w Waldorf, pierwszorzędnym hotelu Nowego Jorku, w którym cena mego apartamentu wynosiła pięćset dolarów dziennie. Joe Duncan mieszkał na 34 ave-

nue o dziesięć minut drogi od Waldorf-Astoria. Każdego ranka przyjeżdżał po mnie i zabierał z sobą do swych biur, nie pozostawiając mi ani jednej godziny wolnej. Nie potrzebowałem już udawać Jonatana Brentano, współnika, któremu zdarzyło się przed laty nieszczęście przy wodospadzie Niagary, gdyż w oczach jego byłem teraz prawdziwym Jonatanem Brentano. Słowa swego dotrzymywał z bajeczną skrupulatnością, wtajemniczał mnie we wszystkie swe interesy, wyjaśniał me nowe obowiązki i z niezwykłą prostotą pouczał o mych nowych prawach... Najciekawszem z tego było to, iż ja zastosowywałem się do wszystkiego i przyjmowałem swe nowe stanowisko z taką naturalnością, jak gdyby należało mi się już oddawna.

Nigdy najmniejszej wzmianki nie było między nami o przeszłości. Po przebyciu oceanu, po przegrodzeniu się nim od swej ojczyzny, utraciłem swą prawdziwą osobę. a stałem się tym, jakim mnie chciał mieć obdarzony niezwykłą siłą woli Joe Duncan, król papierowy. Zawładnął mną zupełnie, czuwał z nadzwyczajną energią nad rolą, jaką miałem odgrywać przy jego boku i wyznac tu muszę na swą pochwałę, iż okazywałem w tym wypadku wiele dobrej woli i zdolności... Wydawał się też bardzo zadowolony z tego i winał mi:

— Jonatanie, jesteś prawdziwą perłą!... Obawiałem się, że będę miał w tobie wiecznego gapia, który zachwyca się wszystkim, a nie bawi się niczem!... Jesteś człowiekiem wyższym i godnym swego losu!... Przekonywałem się, że zrobiłem lepszy interes, niż sądziłem!

Uznanie Z..., który zajmował trzy pokoje w mym apartamencie w Waldorf, skutecznie się bardzo łatwo, formalności bowiem z adoptowaniem nie były tu tak uciążliwe, jak we Francji... Nadałem Polidorowi imię narodowe Teddy, które przy mem nazwisku Brentano, czyniło z niego prawdziwego obywatela wolnej Ameryki, Teddy Brentano. Od naszego zainstalowania się tutaj dałem Polidorowi najzupełniejszą swobodę i pieniędzy, ile chciał. Miałem tyle odwagi i zimnej krwi, iż nie wspominałem mu nawet o odkryciu, jakie uczyniłem na okręcie, a ten biedny chłopiec okazywał znowu tyle przezorności, iż nie spieszył się z wyznaniem mi prawdy. Pilnowałem się również, by nie zdradzić się przed milionerem, iż wiem o obecności Łucyi Weill w jego pałacu przy 34 avenue. Jasne było dla mnie, iż w oczach Joe Duncana i Polidora odgrywam rolę oszukanego!... Ja jednak winałem sobie tej roli, wiedząc, że to oni, a nie ja jestem zwodzony. Nie trudno mi też było dowiedzieć się, że Polidor dnie całe spędzał na bieganiu po mieście w towarzystwie Łucyi Weill, znajdując w tem największą dla siebie rozkosz.

— Mój ojcie — rzekł mi pewnego wieczoru Polidor po powrocie z opery — ja jestem naprawdę najszcześliwszym człowiekiem na świecie!

W słowach jego było tyle przekonania, tyle radości, a zarazem i niemiędziej naiwności, iż stałem bez odpowiedzi przed promieniejącym szczęściem mym synem.

— A więc — pomyślałem, opuszczając głowę, by ukryć swe zmieszanie — to jest ten nędznik, którego miłość dla dziewczyny popchnęła do szaleństwa... Gdy ten szat minął i powróciła rozwaga, on odczuł cały bezmiar swej zbrodni i znosił bolesne wyrzuty!... A teraz wystarcza ta grzeszna miłość, by znowu zapomniał o ogromie swego przestępstwa i stał się zwierzęciem, dostępnym tylko dla rozkoszy... I to jest miłość, i to ma rządzić światem i to kierować ludzkością!... I to ma być kobieta i na tem ma polegać jej potęga!...

Gdy podniosłem głowę, by odpowiedzieć Polidorowi, swemu wynaturzonemu synowi, nie znalazłem już przed sobą Teddy Brentana, swego adoptowanego syna. ...Nie mogłem wyjaśnić sobie, do czego doprowadzi ten związek Polidora z Łucyą. Nie było również w mej mocy przyspieszyć rozwiązanie tego trudnego problemu, na którym nic się nie rozumiałem! Ciekawość moja skierowywała się głównie ku Łucyi Weill, nie byłem jednak w stanie zaspokoić jej, nie zrywając z obojętnością, jaką musiałem okazywać... Mogłem tu liczyć tylko na szczęśliwy wypadek, który mi się nasunął dzięki wyjazdowi Joe Duncana do Filadelfii w sprawie trustu papierowego... Łucya Weill bowiem, uprzedzając mą ciekawość, a raczej zaspakajając swoją, przyszła złożyć mi wizytę w Waldorfe.

— Ach, mój starszku, nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że cię odnajduję — zawołała, wyciągając ku mnie rękę — chociaż wcale nie stałeś się piękniejszym! Wyglądasz, jak odarty ze skóry!

Nie obrażając się za ton jej słów, chciałem ją naśladować i odrzekłem:

— I ja również się cieszę, moja mała. Podobna